EPOKA

TYGODNIK

ROK II — Warszawa, 17 grudnia 1933 R. — NR. 51 (64)

Odwrót pisarzy

Walka chłopów

Dwie możliwości

Dla dalekiego jutra

O mistycyzmie

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Najnowsze książki.

AUTORZY: Czeczelnicki. Szpecht. Wiewiórska. Lukrec. Czosnowski.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

ODWRÓT PISARZY

Praskie pismo *Neue Deutsche Blaetter* przytacza ciekawą korespondencję pomiędzy wybitnymi pisarzami niemieckimi, którzy przebywają obecnie na wygnaniu, a wydawcą berlińskim S. Fischerem:

„...Dnia 19 października b. r. wydawnictwo *Boersenblatt für den deutschen Buchhandel* (biuletyn księgarski), zamieściło spis zagranicznych pism emigracyjnych i ich współpracowników, oraz „ostrzeżenie": „Ktokolwiek kupuje dziś w Niemczech książki pisarzy, przebywających poza granicami Rzeszy, którzy znieważają w haniebny sposób ojczyznę niemiecką, przyczynia się do zdrady narodowej".

„Szczególnie zagrożone tem ostrzeżeniem zostały interesy wielkiego wydawcy S. Fischera. A oto rychłe rezultaty jego zabiegów:

Alfred Doeblin, zwalczany przez trzecią Rzeszę jako Żyd i pisarz, wystosował do Fischera telegram: „Wyrzekam się wszelkiej łączności zarówno literackiej, jak politycznej z pismem emigracyjnem *Die Sammlung*. Zechce Pan bezzwłocznie to ogłosić publicznie".

Réné Schickele zatelegrafował: „Jestem zaskoczony politycznem stanowiskiem pisma *Die Sammlung*. Nie mam nic wspólnego z jego wydawcą".

Tomasz Mann, laureat nagrody Nobla, wystosował telegram: „Stwierdzam, że treść pierwszego numeru pisma *Die Sammlung* nie odpowiada w zupełności zapowiedzianemu uprzednio programowi". W obszerniejszym zaś liście Mann dodał: „Zapewniam, że nazwisko moje skreślone zostanie z listy współpracowników *Die Sammlung*".

Dwaj tylko pisarze, Herminja zur Mühlen i Stefan Zweig, nie postąpili w myśl życzeń wydawcy. Oto odpowiedź H. zur Mühlen: „Nie podzielam pańskiego zdania, że trzecia Rzesza — to Niemcy, ani, że Führer wyraża wolę narodu. Sprzeczne z memi przekonaniami i mem sumieniem byłoby naśladowanie postępku przytoczonych przez pana pisarzy, którzy wolą, aby w trzeciej Rzeszy, z której uciekli, drukowano i sprzedawano ich książki, aniżeli dochować wierności swym przekonaniom i swej przeszłości".

Zaś Stefan Zweig odpowiedział:

„W chwili obecnej nie można mieć nic wspólnego z Niemcami. Zrywam wszelkie węzły".

WALKA CHŁOPÓW JAPOŃSKICH

Tokijskie pismo *Siakai Undo Tausin* przytoczyło interesujące dokumenty i fakty o japońskim ruchu chłopskim:

„28 października 1932. — Ponieważ sąd nakazał przymusową sprzedaż ryżu z pól dzierżawcy Takenari, wśród włościan wsi Haka panuje wielkie wzburzenie. Takenari odbywa karę więzienia za udział w ruchach chłopskich w styczniu 1932 r. Jego żona, stary ojciec i pięcioro dzieci pozostały we wsi, pogrążone w nędzy. Wielki posiadacz Nakamura zwrócił się do sądu o przyznanie sumy dzierżawnej. W obecnej chwili, zbiory Takenari mają być sprzedane drogą licytacji.

„Miejscowa organizacja *Dzenno* (Związek chłopów) wszczęła z powodu tej sprawy tak silną agitację, że w obawie rozruchów naczelnik policji zażądał z okolicznych wsi posiłków. W nocy, poprzedzającej dzień licytacji, zaaresztowano przywódców związkowych. Przeszło stu agentów otoczyło wieś. Chłopów, członków *Dzenno*, udających się na miejsce sprzedaży również zaaresztowano. Mimoto, około dwustu chłopów zebrało się na licytacji.

„Przybycie taksatora powitano krzykami, przekleństwami i groźbami. Lecz dopiero pojawienie się wielkiego posiadacza ziemi wywołało głośną burzę. Padły okrzyki „Śmierć pijawce!" Jedynie interwencja policji zapobiegła rozruchom... Związek chłopski za wspólnie zebrane pieniądze odkupił zbiory Takenari".

„30 października 1932. — Nakamura nadal prowadzi walkę z *Dzenno*. Osiągnął u władz zakaz, mocą którego wzbroniony jest wstęp na jego pola wszystkim, którzy nie otrzymają specjalnego zezwolenia właściciela. Związek chłopski odpowiedział hasłem: „Wstęp wzbroniony — bez zezwolenia dzierżawcy".

„17 stycznia 1933. — Podczas manifestacji *Dzenno*, jeden z dzierżawców zranił żonę posiadacza ziemi, który mocą wyroku sądowego zamierzał go pozbawić dzierżawy. Został zaaresztowany. Policja rozproszyła manifestantów.

„22 lutego 1933. — *Dzenno* zorganizowało „Ligę dzierżawców, nie mogących płacić" i rzuciło hasło: „Zapewnijcie sobie przedewszystkiem żywność".

„15 marca 1933. — Pod presją *Dzenno*, Nakamura przyznał chłopu Takenari pewne ustępstwa: przedłużył o trzy lata dzierżawę, zmniejszył czynsz o 11% i rozłożył spłatę długu na trzy lata".

DWUGŁOS POPROHIBICYJNY

Pismo *New-York Herald* donosi:

„Czternastoletnie trwanie prohibicji amerykańskiej, wprowadzonej przez 18-ą poprawkę, która była najżywiej omawianą ustawą Stanów Zjednoczonych, zakończyła się z chwilą głosowania 36-ego stanu (Utah) za zniesieniem suchego régime'u. Oficjalne uchwalenie nowej poprawki nastąpiło 5-ego grudnia.

„Pensylwanja i Ohio dowiodły miażdżącej przewagi prohibicji, a Kentucky i Utah zadały cios prohibicji większością 90% mieszkańców. Jedynie Stany Karoliny północnej i południowej ujawniły przewagę „suchych".

„Sprzedaż spirytualji stała się legalna po przyjęciu nowej, 21-ej poprawki przez wszystkie stany. W rzeczywistości jednak nowe prawo weszło w życie z chwilą, gdy departament Stanu otrzymał ratyfikację nowej ustawy przez 36 stanów.

„Szybkość, z jaką stany porzuciły prohibicję, zaskoczyła w pewnej mierze nieprzygotowane władze federalne i lokalne. I tak, sprzedaż legalna alkoholu poddana jest narazie tymczasowym, doraźnie ustalonym przepisom. Kwestja ta obok zasadnienia ceł na wina i alkohole importowane będzie głównym przedmiotem obrad Kongresu.

„Obliczają, że porzucenie prohibicji da Skarbowi conajmniej 700 miljonów dolarów. Nowojorskie *New Republic* pisze:

„Jedną z zasadniczych przyczyn, dla których Amerykanie z takim pośpiechem głosowali za zniesieniem prawa Volstead'a, była niewątpliwie chęć

ukrócenia „raz na zawsze" praktyk bootleggerów i gangsterów. Otóż pojawiają się już pewne wątpliwości co do realizacji tego zamiaru. Jak wiadomo powszechnie, rząd federalny, stany i gminy odczuwają dotkliwy brak pieniędzy i szukają za wszelką cenę nowych źródeł. I tak „rzucono się" na likiery, wydając równie głośne jak radosne okrzyki w nadziei wydajnej eksploatacji nowego źródła podatków. Rezultat? Najprawdopodobniej, suma podatków i opłat tak obciąży napoje, że amatorzy alkoholu powrócą do praktyk, uprawianych w ciągu ubiegłych piętnastu lat: będą kupować wino lub whisky u bottleggera lub w *speakeasy*, gdzie produkty równej jakości sprzedawane będą taniej, nieobciążone różnemi podatkami.

„Sądzono naiwnie, że legalne napoje będą znacznie tańsze od kontrabandy. W rzeczywistości nadzieje te srogo zawiodą... Miejsce dla bootleggera jest zarezerwowane".

KONKURS POLITYCZNY

Redaktor moskiewskich *Izwiestij* otrzymał od dziennika amerykańskiego *Jersey Journal* następujący telegram:

„Burmistrz miasta Jersey (stan New-Jersey) zaproponował młodzieży szkolnej zorganizowanie konkursu wespół z uczniami szkół moskiewskich. Chodziłoby o najlepszą pracę o znaczeniu uznania Sowietów przez Stany Zjednoczone. W obydwu miastach wybranoby zwycięzcę wśród młodzieży, która nie przekroczyła 18 lat. Czy dziennik *Izwiestja* zgodziłby się na współ-organizację konkursu?"

Oto odpowiedź dziennika sowieckiego:

„Wyrażamy swoją zgodę. Nawiążemy niezwłocznie kontakt z szkołami moskiewskiemi dla ustalenia terminu i warunków konkursu. Oczekujemy rychłych wieści o Waszych poczynaniach".

ANEKSJA KULTURY SKANDYNAWSKIEJ

Kopenhaskie pismo *Dagens Nyheder* donosi:

„Trzecia Rzesza rozpoczyna prawdziwą ofensywę przeciw krajom skandynawskim, by zmusić je do „współpracy" z Niemcami w dziedzinie literackiej i artystycznej. Zmierza ona do wyraźnie określonego celu; forma jego realizacji jest już przewidziana specjalnym statutem. Pomimo pozorów niewiarygodności i fantastyczności, projekt hitlerowski oblecze się wkrótce w realny kształt oficjalnego dekretu, pomyślanego jako składowa część statutu organizacji pod nazwą *Reichsbund der deutschen Kultur* (federacja kultury niemieckiej). Twórcą tej federacji jest minister propagandy, Goebbels, który zmierza do inkorporacji i asymilacji pisarzy i artystów skandynawskich do tej czysto niemieckiej organizacji.

Inny dziennik duński *Fuens Venstrebled* w związku z powyższym projektem donosi, że jeden z najwybitniejszych pisarzy duńskich otrzymał już podpisany własnoręcznie przez Goebbelsa list, w którym żąda on przystąpienia do federacji — w formie ultimatum. Goebbels daje wyraźnie do zrozumienia, że odmowa równać się będzie zakazowi tłomaczenia i sprzedaży dzieł duńskiego autora na terenie Rzeszy. Groźba ta poważnie zaniepokoiła pisarzy duńskich, oraz pisarzy innych narodów skandynawskich, dla których Niemcy były zawsze najpoważniejszym odbiorcą. Sprzedaż ich dzieł w Niemczech jest często najpoważniejsza pozycją dochodów.

DWIE MOŻLIWOŚCI

Zaznajomiliśmy czytelników (w poprzednim n-rze „Epoki") z poglądami konserwatysty, prof. A. Kliszewcza, na ustrój kapitalistyczny. Obecnie pragniemy sformułować kilka uwag krytycznych.

Jeśli przyjrzymy się t. zw. cywilizacjom starożytnym — rzecznym, czy morskim, wszędzie znajdziemy silnie rozwiniętą wymianę, handel na wielką skalę międzynarodową, system monetarny i system kredytu, a również i przemysł, pracujący w wielu wypadkach nietylko dla rynku wewnętrznego, lecz i na eksport. Wystarczy przypomnieć o Egipcie, Babilonji, Asyrji, by sobie to uprzytomnić. Lecz historja wielkich imperjów bliskiego Wschodu była dotychczas przez nas znana zbyt fragmentarycznie, nowe zaś, rewelacyjne odkrycia archeologji i epigrafiki nie zostały ostatecznie opracowane, więc wolimy operować przykładami antycznej Grecji i Rzymu.

Przedewszystkiem konstatujemy, że tak antyczna Grecja, jak i Rzym przedstawia obraz cywilizacji, która nie powstała bynajmniej odrazu, lecz w toku długiej, bardzo bogatej i skomplikowanej ewolucji, jako skutek szeregu transformacyj.

Otóż nawet w starożytnym okresie historji antycznej Grecji, w t. zw. okresie Homera, nie znajdujemy bynajmniej sławetnej, zamkniętej gospodarki naturalnej. Już w tym okresie istnieje wymiana, która z biegiem czasu wzrasta, zwłaszcza w miarę rozwoju greckiej kolonizacji. Wciągnięci w obrót wymiany międzynarodowej, Grecy zaczynają rozwijać u siebie przemysł, pracujący nawet na eksport. Powstaje klasa społeczna związana nie z rolą, lecz z pracą techniczną, z rzemiosłem, które w niektórych gałęziach przeistacza się w przemysł fabryczny, zwłaszcza dzięki użyciu pracy niewolników. Obok właścicieli rolnych i rolników powstaje rzemieślnik, proletarjusz, a zarazem i burżuazja. Wraz z produkcją towarową pojawia się w Grecji system kredytu, pojawia się pieniądz. Z rozwojem życia konstatujemy w Grecji specjalizację, podział pracy — technicznej i ekonomicznej, a jednocześnie coraz większą dyferencjację społeczną, wzmagające się różniczkowanie społeczne. Ten rozwój doprowadza do powstania gospodarki pieniężnej, w rolnictwie konstatujemy z jednej strony bogatych posiadaczy rolnych, z drugiej drobną własność rolną, małorolnych i bezrolnych, na urbanistycznym zaś odcinku powstaje dyferencjacja burżuazji na wielką, średnią i drobną. Szybkiemu socjalno - ekonomicznemu rozczłonkowaniu społeczeństwa greckiego sprzyjało wzmagające się stosowanie pracy niewolników. Tak w dziedzinie rolnictwa, jak i w przemyśle i handlu konstatujemy z jednej strony wzmagającą się koncentrację majątków i kapitałów, z drugiej — coraz większą proletaryzację drobnych rolników i nędzę ludności miejskiej, którą państwo musi wspierać. To też historycy starożytności stwierdzają w pewnych momentach ostre kryzysy rolnicze i ogólno - gospodarcze (np. w Atenach w latach 413 — 411 przed Chrystusem). Zarazem widzimy, zwłaszcza w Atenach, powstanie i rozwój imperjalizmu w pogoni za tanim niewolnikiem, a zarazem za środkami żywności i za rynkami zbytu.

Jeszcze ciekawszą jest dla nas historja Rzymu. Pomijając zbytnią modernizację antycznego Rzymu, jaką widzimy w pracy włoskiego historyka Salvio-

li'ego „Le capitalisme dans le monde antique", stwierdzamy w historji rzymskiej dominującą rolę wielkiego kapitału ruchomego. Nie kreśląc historji rozwoju rzymskiej burżuazji, nadmieńmy, że w Rzymie mamy wyraźny podział na burżuazję wielką (equester ordo) średnią (tribuni aerari) i drobną. Był to kapitał o dość skomplikowanej strukturze. Istniały w Rzymie spółki akcyjne, i to nietylko publikanów (kapitalistów, którzy odkupywali u państwa prawo zbierania podatków), lecz i spółki, na których kapitał składały się wkłady średnich kapitalistów i masy drobnych ciułaczy. To też istniała w Rzymie i giełda, a tem samem i spekulacja giełdowa. Przedmiotem spekulacji były tak tereny wszelkiego rodzaju, jak też i różne akcje. Kapitał dawał naturalnie dywidendy i procent. W niektórych okresach wahania stopy procentowej były bardzo znaczne. Kapitalizm rzymski był nadzwyczaj ruchliwy i przenikał wszędzie. Pod jego wpływem wielkie gospodarstwa rolne przyjęły charakter kapitalistyczny (istne fabryki produktów rolnych), handel, budownictwo i przemysł były oparte na bezwzględnej kalkulacji. Kapitał ruchomy — equester ordo — miał decydujący wpływ na politykę tak wewnętrzną, jak zewnętrzną. Kolonjalne podboje Rzymu były najczęściej inspirowane właśnie przez ruchomy kapitał, przyczem często okupacja militarna była konsolidacją penetracji ekonomicznej, handlowej i finansowej. O ile angielski historyk Seeley ustala dla XVII i XVIII w. ścisłą współzależność (intimate interdependence) między wojną a handlem, na co nie brak dowodów i w późniejszych czasach, to prof. R. Wipper kategorycznie stwierdza to w odniesieniu do imperjum rzymskiego i do wojującego, drapieżnego, a nieprodukcyjnego wielkiego kapitału ruchomego rzymian.

Zaznaczymy, że w historji Rzymu, jeszcze wyraźniej, niż w dziejach starożytnej Grecji widać podział społeczeństwa na stany i klasy społeczne: wielka własność ziemska, małorolni, bezrolni, wielka, średnia i drobna burżuazja.

Istnieją nawet warstwy pośrednie. Widzimy w historji rzymskiej ostry konflikt pomiędzy miastem a wsią, proletaryzację drobnych rolników, szlachty, inteligencji, a zarazem taką koncentrację kapitałów (własności ziemskiej i kapitału ruchomego), iż magnatów i finansowych króli rzymskich możemy śmiało porównać z największymi obszarnikami naszych czasów i z miljarderami U. S. A. W dziejach Rzymu zachodziły przytem rewolucje majątkowe na tak wielką skalę i tak gwałtowne, iż z wyjątkiem rewolucji bolszewickiej — w historji cywilizacji europejsko - amerykańskiej trudno znaleźć odpowiednik.

Nie brak w literaturze greckiej i rzymskiej rekryminacyj na kapitalizm, jak to wykazuje Pöhlmann, w swej świetnej „Historji antycznego komunizmu". Przytoczymy tylko dwa przykłady, jaskrawe i jakby wyjęte z dzieł nowoczesnych krytyków kapitalizmu.

W listach do Cezara, których autorem jest prawdopodobnie historyk Salustjusz, czytamy: „Pozbaw pieniądz mocy i honorów, jakiemi jest on obdarzony w społeczeństwie... Luksus, wille, obrazy, przepych w umeblowaniu, huczne zabawy — niech to zło zniknie wraz z tem znaczeniem, jakie ma pieniądz". Żądając ukrócenia siły pieniądza, autor pisze: „Należy na przyszłość usunąć lichwę, by każdy z nas był pewien swego stanu posiadania. Najprostsza droga ku temu, by władza społeczna była na usługach narodu, a nie kredytora".

U Horacego znajdujemy ataki na kult „króla-kapitału" (regina pecunia), przyczem poeta pisze, że nie będzie podzielał powszechnego hasła: „Obywatele, przedewszystkiem wzbogacajcie się, najpierw kapitał, a później cnota (virtus post hummos). Jak widzimy, słynne hasło Guizota „enrichissez — vous!" istniało już w Rzymie i to w jak najgorszem wydaniu (pecunia non olet).

***

Przytoczone przez nas uwagi historyczne wystarczą, by wykazać całą sztuczność historycznych charakterystyk prof. A. Kliszewicza, jak też i całej jego swoistej historjozofji. Mutatis mutandis znajdujemy w starożytności, zwłaszcza w Rzymie główne cechy obecnego kryzysu cywilizacji europejsko - amerykańskiej i to do kultu mamony, spekulacyj giełdowych, koncentracji kapitałów, supremacji kapitału ruchomego włącznie. To, co miało być szatańskiem dziełem masonerji współczesnej (wynalazek ten niepotrzebnie przejął prof. A. Kliszewicz od p. R. Dmowskiego („Świat powojenny i Polska"), znajdujemy już w Rzymie, nie bacząc na zgoła odmienną wówczas dominującą koncepcję ruchu. Cała, mozolnie wypracowana przez prof. A. Kliszewicza dziwaczna historjozofja leży w gruzach.

W październiku 1930 r. redaktor „Naszej Przyszłości" dr. Jan Bobrzyński po przeczytaniu dzieła G. R. Tabonis o Tut Ank Amonie, pisał, iż zbyt wielka jednostronność wykształcenia i wynikła stąd nadmierna apodyktyczność sądu, płata różnym uczonym, pisarzom i politykom nieraz dotkliwe figle. Przytoczywszy kroniki egipskie, ideolog konserwatyzmu zamierzał triumfująco poskromić demokratów, wytykając im „dziwadła filozoficzno - polityczne". Otóż konstatujemy, że dr. J. Bobrzyński może śmiało skierować swój sarkazm w stronę swego najcenniejszego współpracownika.

***

W szczególności miłem jest twierdzenie prof. A. Kliszewicza, że wszystkie wyższe cywilizacje jakoby wspierały się na zasadzie wewnętrznego samoograniczenia, gdy natomiast „rozhukany antropocentryzm staje się zasadniczą cechą naszej cywilizacji". Owszem, znamy w starożytności tendencje ku ograniczeniu majątkowemu, ku egalitaryzmowi, ku niwelacji majątków na pewnym średnim poziomie. Wedle Plutarcha i Arystotelesa ustawodawstwo Solona miało na celu zwalczenie zbyt jaskrawej nierówności ekonomicznej, anormalnej koncentracji bogactw w ręku niewielkiej grupy uprzywilejowanej, której Solon zarzucał chciwość (filargurję) i nieustępliwość (t. j. właśnie brak samoograniczenia). Ustawodawca dążył do obrony rolnika, obawiał się zbytniego rozwoju wymiany, jak też i powstania klasy kupców — pośredników. Do tej samej tendencji należą słynne ustawy Mojżesza o anulacji długów w roku jubileuszowym, co siedem lat (szemita) i o zakazie procentu, które to ustawy z czasem unicestwiono za pomocą specjalnych procedur obejścia formalnie obowiązujących reguł.

Koncepcję samoograniczenia zapewne nasunął prof. A. Kliszewiczowi mit o t. zw. oikos, o zamkniętej gospodarce naturalnej, którą przeciwstawiano politeji, czyli republice — miastu z jego gospodarką towarową i pieniężną. Otóż, jak to słusznie zauważa prof. R. Wipper, taką zamkniętą gospodarkę naturalną znajdujemy jedynie na bardzo niskiem stadjum kul-

tury, gdy produkcja na zbyt prawie nie istnieje, a wymiana jest bardzo słaba. Zaś prof. M. Rostowcew pisze: „Wymiana jest zjawiskiem tak samo dawnem, jak i produkcja. Stadjum zamkniętej gospodarki domowej jest jedynie owocem wyobraźni ekonomistów - teoretyków".

Już Platon, zastanawiając się nad przyczynami zła społecznego, wskazywał na chrematystykę, czyli na pracę nie dla potrzeb własnych, a dla rynku, na zbyt, dla zysku. Nie dziw też, iż wszystkie dążenia starożytnych ustawodawców do ograniczenia i niwelacji fortun nie dały pożądanego wyniku. Ustawodawcy próbowali usunąć skutki, nie zmieniając źródła, nie usuwając odnośnych przyczyn. Wysiłki tych reformatorów społecznych były nadaremne, gdyż były w sprzeczności z naturą rzeczy, z wewnętrzną dynamiką gospodarki, opartej na własności prywatnej.

***

Dla zrozumienia kryzysu naszej cywilizacji, a przedewszystkiem dla wyjaśnienia przyczyn kryzysu gospodarczego nie należy budować jakichś wyimaginowanych koncepcyj historjozoficznych, lecz analizować wewnętrzną logikę naszego ustroju społeczno-gospodarczego, jego djalektykę. Jedynie śmiała analiza tak statyki, jak i dynamiki ustroju wskaże nietylko przyczyny kryzysu, lecz i drogi wyjścia. A to tem bardziej, iż niezależnie od celów subjektywnych tych lub innych grup społecznych lub jednostek, musimy się liczyć z rzeczywistością, z prawami życia społeczno - gospodarczego, z tem, co encyklopedyści nazywali społeczną fizyką. Mamy w tej dziedzinie tak świetnych analityków, jak Sismondi, Proudhon, Marx. W świetle ich analiz tragiczna teraźniejszość staje się zupełnie zrozumiałą, zarazem staje się jasnem, iż miast reakcyjnych pomysłów, dążących do wstrzymania postępu technicznego i redukcji maszynizmu, należy zdobycze techniki *uspołecznić*. Istota kryzysu polega na coraz bardziej ostrej sprzeczności między społeczną i prawną strukturą społeczeństw a dynamiką gospodarczą ustroju. Albo dostosujemy tę strukturę do nowych wymogów rozwojowych życia i pchniemy cywilizację na tory dalszego rozwoju, albo otworzymy drogę nowemu zalewowi barbarzyństwa. *St. Czeczelnicki*

DLA DALEKIEGO JUTRA

Jednem z elementarnych działań algebraicznych jest *odejmowanie* wartości *ujemnych*, które równoznaczne jest z czynnością *dodawania*. Ta prosta, nauczana w czwartej czy piątej klasie gimnazjalnej, zasada rachunku, narzuca się nieodparcie przy czytaniu wywodów znanego krytyka J. E. Skiwskiego na temat pacyfizmu. P. Skiwski degraduje wysiłki i program pionierów idei pokoju nieskomplikowanym, i naiwnym w swej prostocie chwytem; ideologja pacyfistów ma być taka: „Niczego do życia nie *dodać*, niczem go nie wzbogacić — tylko *odjąć* mu wojnę". Tę pustą grę słów zbija proste, podawane uczniom czwartej gimnazjalnej, twierdzenie: odejmując wartość ujemną spełniamy czynność dodawania. Czyli— sprostowanie błędnego rachunku p. Skiwskiego brzmi: *odjąć* życiu wojnę równa się wzbogaceniu go, dodaniu doń... Czego?

***

Z dnia na dzień topnieje dziś garstka tych, którzy sprzeciwiają się złożeniu idei pokoju do lamusa utopji. Rośnie liczba tych, którzy pacyfizm zaliczają do rzędu utopij nieszkodliwych. Coraz donośniejszy też staje się protest przeciw „szkodliwej fikcji", która obezwładnia i naraża na szwank bezpieczeństwo ludzi, nienaruszalność granic i terytorjum państwa. Wraz z narastającemi nastrojami wojennemi wspinają się coraz wyżej cyfry produkcji tanków, gazów, armat, rośnie tonaż morski międzynarodowej floty bojowej.

Atmosfera międzynarodowa skażona jest oczekiwaniem wojny. W układach, paktach i dyplomatycznych gwarancjach, uroczyście podpisywanych, parafowanych i poręczonych istnieją zamaskowane szczeliny, przez które nastąpić może pewnego dnia wybuch trującego chloru, duszącego fosgenu i żrącego iperytu. Oficjalne wynurzenia mężów stanu, przeznaczone na eksport, kłócą się w sposób oczywisty i nikogo nie łudzący, z praktyką ich poczynań w obrębie własnych granic. Słowa i uroczyste świstki papieru, łatwe do podarcia. Akcje zaś i dywidendy wytwórni Kruppa, Creusot, Schneidera wytrwale wspinają się wzwyż.

Plany i konferencje rozbrojeniowe rozbiły się o wzajemną nieufność i wzajemnie kolidującą grę interesów. W rozgrywce argumentów uzbrojeniowych, jeden z partnerów żąda „w imię pokoju" redukcji floty wojennej, a nienaruszania sił powietrznych; bliski sąsiad przy stole obrad wysuwa w tej samej intencji pokojowej żądania wprost przeciwne. Jeden bowiem, reprezentując państwo kontynentalne, posiada silne lotnictwo, drugi zaś, delegat jednej z światowych potęg morskich — posiada wspaniałą flotę bojową.

Fiasko konferencyj rozbrojeniowych ustaliło jeden pozytywny i dobitny pewnik: w atmosferze, naładowanej powszechną nieufnością i wzajemnemi pretensjami i ambicjami, jedyną gwarancją pokoju jest siła, uzbrojona i mocno zaciśnięta na znak gotowości do odparcia ciosu pięść. I na podminowanym gruncie dyskusyj rozbrojeniowych uformowała się znamienna koncepcja *statutu militarnego* Europy. Nie — układ rozbrojenia, ale statut militarny.

Smutne świadectwo impotencji pokojowej roku 1933-ego wystawiła sztokholmska Akademja, która zrezygnowała z przyznania tegorocznej nagrody pokoju Nobla. (Sens tej decyzji posiada znamienną przeciwwagę w ironicznej kandydaturze Hitlera, wysuniętej przez jedno z pism angielskich. Hitler — laureatem nagrody pokoju: zacieśnił węzły, łączące Francję z Polską, zbliżył Polskę z Sowietami i Francję z Sowietami).

Taka jest dziś polityczna i dyplomatyczna sytuacja świata, urozmaicona jeszcze wojennem pogotowiem na Dalekim Wschodzie i krwawą rozgrywką pomiędzy Mandżu-Kuo i Japonją a Chinami.

Co przeciwstawia tej rzeczywistości — pacyfizm?

Pacyfizm „konferencyjny" w osobie Arthura Hendersona stwierdza, iż „pragnienie pokoju jest w narodach słabe i dorywcze w przeciwieństwie do upartego i ciągłego rozwoju tendencyj wojowniczych ... ‚Nie wystarczą same przepowiednie, dotyczące potwornych skutków nowej wojny z całą jej grozą i zdziczeniem. Cała ta zgroza, przed którą cofnęłaby

się większość ludzi każdego kraju, nie wystarcza, żeby zapobiec zbliżaniu się wojny, jeśli narody będą w dalszym ciągu opierały swoją politykę na wierze w siłę, jako w jedyny i ostateczny czynnik, rozstrzygający sprawy ludzkości. Wyrzeczenie się wojny, jako narzędzia polityki międzynarodowej (pakt Kellogga), miało charakter formalnego zadatku na pokój.... Opętany wyścig zbrojeń, zwłaszcza w dziedzinie wytwórczości broni zaczepnej, musi się skończyć... Nie popełniajmy jednak błędu, przypuszczając, że zawarcie międzynarodowego układu rozbrojeniowego będzie rzeczą łatwą, albowiem istnieją wieki przyzwyczajeń, zazdrości i podejrzeń, które niezmiernie utrudniają nasze zadanie i którym musimy się energicznie przeciwstawić".

Wymowną i dobitną odprawę otrzymał Henderson od konferencji, której obradami kierował jako przewodniczący, od konferencji, która ustawicznie i nałogowo odracza się ad calendas graecas. Gorszące i bezpłodne widowisko „konferencji odroczeniowej" niczego nie zdołało dokonać dla dzieła rozbrojenia i rozładowania atmosfery, nabrzmiewającej coraz groźniejszemi oznakami zbliżającej się katastrofy.

A pacyfizm ideowy? W wydanym przed trzema laty zbiorowym tomie „*Gewalt und Gewaltlosigkeit*" złożyli swe żarliwe wyznanie wiary wybitni pacyfiści — Romain Rolland, Zweig, Gandhi, Wells, Capek, Kurt Hiller, Lessing, Schönaich, Henryk de Man.

Wszystkim wynurzeniom wspólne jest stanowisko, z którego potępiona została wojna. Jest to przedewszystkiem protest, *indywidualny* protest uczucia i humanitaryzmu. Ten indywidualizm najmocniej został podkreślony w artykule Romain Rollanda, który woła: „...Ale jeśli sam nawet pozostanę ze swoją wiarą, cóż mnie to obchodzi?"

Programowe wypowiedzi „aktywnych pacyfistów" są tu świadectwem tragicznej bezradności i niewspółmierności środków, jakiemi chcą walczyć ze wspaniale wyposażonym aparatem przygotowań wojennych.

***

Czy *dzisiejsza* niemoc pacyfizmu jest zarazem świadectwem jego zbędności? Bynajmniej. Musi trwać i wytrwać na zagrożonej śmiertelnie pozycji. Jest bowiem realnym postulatem *przyszłości*. Jeśli prawdą jest nawet twierdzenie Bergsona, że człowiekowi przyrodzony jest instynkt wojny, a nie instynkt pokoju — to przecież linja rozwoju ludzkości biegnie drogą walki i przezwyciężania natury. Program brzmiałby wówczas: wytrzebić wrodzony instynkt wojny!

Szaleństwo obłąkańców zostawia na miejscu budowli i owoców znojnej pracy — strugi krwi i ruinę. Szaleństwo pacyfistów powinno być odpowiedzią walczących o najwyższe dobro: o prawa życia.

Tem właśnie będzie wyrzeczenie się wojny: akceptacją życia. Dlatego *odjęcie* życiu wojny oznacza — nie zubożenie, ale wzbogacenie go o najwyższą zasadę poszanowania życia ludzkiego. I wzbogacenie o potężny strumień energji, dziś przeznaczonej do niszczenia. O miljardy marek, franków, dolarów, złotych, lirów i yen — które dziś są naczelną pozycją budżetów wszystkich państw, współzawodniczących z ambicją godną lepszej sprawy w międzynarodowym wyścigu zbrojeń.

Józef Szpecht

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

J. WŁ. DAWID O MISTYCYZMIE

Poniżej drukujemy fragment z ostatniej, mającej się wkrótce ukazać pracy znakomitego uczonego ś. p. Jana Władysława Dawida. Z notatek, które pozostały w jego tece pośmiertnej, dzięki nieustającej pracy jego ucznia i przyjaciela, oraz opiekuna całej jego puścizny naukowej — Henryka Lukreca, powstała obecnie książka roztrząsająca ze stanowiska psychologicznego zagadnienia mistycyzmu, rzeczywistości duchowej, przeznaczenia, wolności. Nadmienić trzeba, że książka jest ostatnim akordem myślowym wielkiego psychologa: myśli w niej zawarte J. Wł. Dawid spisywał do ostatnich dni swego życia. Rzecz tę poprzedziła wydana w roku bieżącym, nakładem „Naszej Księgarni" praca p. t. „Psychologja religji", która, jak wiadomo, wzbudziła żywe zainteresowanie i silnie oddziałała na umysły. W bliskim związku z „Psychologją religji" pozostaje ostatnia książka, z której właśnie dajemy ten wyjątek, jak również dwa drukowane dawniej odczyty p. t. „O filozofji Bergsona" i „O duszy nauczycielstwa", oraz dwie rozprawy p. t. „O intuicji w filozofji Bergsona" i „O intuicji w mistyce, filozofji i sztuce", które nb. są zupełnie wyczerpane. Podłoże duchowe tych wszystkich wymienionych prac jest wspólne, powstało ono ze stanów duchowych, które cechowały J. Wł. Dawida w ostatnich czterech latach jego życia.

***

— „Mówią, że mistycy nie powiedzieli nam nic nowego. Ale stan i poznanie mistyczne nie jest poznaniem równoznacznem z poznaniem praktycznem i naukowem. Mistyka jest przeżyciem, akcją intelektu i woli, i bardziej jeszcze woli. Ma ona ognisko subjektywne, indywidualne, objektywnie zaś dla innych jest tylko pośredniem źródłem lub stwierdzeniem pewnego poznania. Jeżeli oczekujemy, że mistyk powie nam coś o budowie materji, ruchu ciał niebieskich, to musimy się zawieść. Są to poznania intelektu, środkami i w granicach normalnego funkcjonowania mózgu. Stan mistyczny polega właśnie na tem, że człowiek wyzbywa się i przekracza te granice, chce żyć poza budową i działaniem swojego mózgu, żyć „niestworzoną" częścią swojej istoty. Poznanie jego ma za przedmiot indywidualne, duchowe przedmioty, rzeczy związane z własnym jego *bytem* i robi on doświadczenia, których inaczej nie zdobyłby. Stara się osiągnąć najwyższą wiedzę moralną: usiłuje stwierdzić bezpośrednio realność bytu duchowego, swoją naturę duchową i innych istot, świadomość swojego celu, przeznaczenia, losu, świadomość obowiązku, wolności, doznaje zespolenia ze światem duchowym — istotą najwyższą, innemi duchami poza światem i duchową istotą żyjących, uświadamia miłość, jako zasadę duchowego świata.

Są to ludzie, którzy zapuszczają się na dno morza i mówią nam, co tam jest, albo docierają do bieguna. Poznanie ich — indywidualne i subjektywne — ma jednak dla innych znaczenie świadectwa ludzi, którzy czegoś doznali, widzieli i świadczą. Każdy nie może wszystkiego widzieć i doświadczyć. Wiele rzeczy przyjmuje się na wiarę: od astronoma, podróżnika. Od mistyków przyjmuje się na wiarę stwierdzenie świata duchowego. Świadectwo to nie każdy przyjmuje, oczywiście tylko w miarę swej szczególnej wrażliwości, która znów jest wyrazem jego szczególnej po-

trzeby. Życie na ziemi musi być przeżyte wedle jego własnych wymagań, warunków i środków. Z początku być może organa intelektualnego i mistycznego poznania nie były tak rozdzielone, pierwsze nie miały tak wyłącznej przewagi. Rozwój dążył do utrwalenia i przewagi intelektu, zastosowanego do warunków materji. W warunkach życia sam dobór naturalny musiał eliminować osobniki, u których wytrysły nadmierne skłonności i uzdolnienia mistyczne. One bowiem kłóciły się z warunkami materjalnemi, stawały im wpoprzek, wywołały zamieszanie, np. jasnowidzenie, działanie magiczne (czary). Ludzie świadomie dążyli do tego celu: wzrost nauki pod postacią i hasłem oświecenia rugował t. zw. przesądy, odbierał walor siłom jednostek mistycznych. Przedtem jeszcze religje zorganizowane. Religje nie mogły wprawdzie zaprzeczać zasadniczo poznaniu mistycznemu, one z tego źródła same wypływały, były jego płodem. W religjach skonsolidowało się to, co z mistycznego poznania mogło być użyteczne w postaci wiary w istotę rodzącą. Opatrzność, życie przyszłe z jego nagrodami i karami, sankcją praw, władzy ziemskiej i moralności. Ale przyjąwszy to, kościoły nadały temu formę możliwie nieszkodliwą dla życiowo-praktycznych celów. Z chwilą, kiedy religje w osobach swoich założycieli zaczerpnęły doświadczeń u źródła mistycznego poznania, wnet przybierały postać ziemską, intelektualną i usiłowały zahamować samo źródło w interesie życia. Swojemu doświadczeniu pierwotnemu nadawały postać dogmatu, poznanie mistyczne opierały na objawieniu, autorytecie, wreszcie na rozumie, racjonalistycznem uzasadnieniu Boga i dogmatów, natomiast broniły dostępu wiernym do źródła, gdyż słusznie rozumiały, że czerpanie z niego bez granic przez wszystkich zatamowałoby i paraliżowałoby siły praktyczno-życiowe. Źródła te uznawały za przywilej proroków, wybranych, albo odwrotnie, dla celów praktyczno-życiowych za narzędzie, studnię djabłu. Najkonsekwentniej w tym kierunku postąpił kościół katolicki: zabronił czytania pisma, prześladował i palił wszystkich, u których życie mistyczne właśnie się ujawniało: kacerzy, heretyków, którzy czerpiąc bezpośrednio ze źródła mistycznego, tworzyć chcieli religje indywidualne, palił czarownice, u których siły mistyczne w innej postaci się objawiały.

Wreszcie skazał na celibat masę ludzi, którzy objawiali właśnie powołanie szczególne w kierunku religijno-mistycznego życia. W ten sposób zatamował źródło, ale dokonał przez szereg wieków doboru sztucznego, wyniszczył siły mistyczne, — ostatecznie sam się pozbawił materjału ludzi. Księża dzisiejsi pochodzą już z ludności w znacznej mierze wyjałowionej z sił mistycznych, z powołania religijnego. Nadto, o ile mistycy zjawiali się w kościele, — nieprawowiernych prześladował, jak np. Eckhardta, nałożył więzy na mistycyzm hiszpański.

Już także Mojżesz, sam obdarzony w najwyższym stopniu medjumicznemi albo magicznemi zdolnościami, robi z nich stały użytek: wywołuje wizje, które udzielają się ludowi żydowskiemu, odkrywa wodę w skale, pisze na tablicach kamiennych, (pismo bezpośrednie Glade'a), wygłasza proroctwa — i na tem buduje religję. Ale jednocześnie *zabrania* Żydom i potępia „sztuczne" cudze ekstazy, proroctwa: „Nie będziecie wróżyli ani wierzyli snom" (Mojż. III, 19, 26), nie wolno udawać się do czarodziejów i wróżbitów, a „Mąż lub niewiasta, którzyby mieli *ducha proroczego, śmiercią* zginąć mają, *ukamienujcie ich*" (III. 20,27).

Z innych pobudek nauka podjęła swojemi środkami tę samą rolę: ogłosiła panowanie rozumu, doświadczenia, oświecenia. Zapanowanie sceptycyzmu, krytycyzmu, oświecenia, wolnej myśli w zachodnim świecie uważać należy nie za przyczynę, ale raczej za skutek przytłumienia życia mistycznego ludzkości. Wyjątek stanowią dotąd Wschód, Indje, Chiny, gdzie potrzeby praktyczne życia były mniej silne. Życie zwróciło się do wewnątrz, nietylko nie tępiono, ale hodowano mistyczne siły duszy.

W rezultacie życie potoczyło się łożyskiem przeważnie wyżłobionem w doświadczeniu zmysłowem i opartem na rozumowaniu, intelekcie. Zanikła wrażliwość i potrzeba mistyczna. Tem się tłumaczy oporność uczonych dla zjawisk mistycznych, fakt, że pewne objawy w różnych czasach stwierdzone, głośne, ulegają zapomnieniu, ludzie przestają o nich myśleć. Tak i jednostka przestaje myśleć o rzeczy „nadprzyrodzonej", która ją spotkała. Ażeby nastąpiło poznanie, niedość żeby się zdarzył fakt, rzeczywistość, musi być kompleks warunków w poznającym: wrażliwość zmysłów, uwaga, apercepcja, odpowiedni system pojęć i prawd, w które nowy fakt mógłby być organicznie wcielony.

Ludzkość urządziła się wyłącznie w sferze zmysłowo-intelektualnej i nie chce z niej schodzić. Należy stwierdzić objektywnie ze stanowiska nauki, że schodzić już niema potrzeby.

Tylko czasem i wtedy, gdy ta potrzeba budzi się u jednostek (śmierć, rozpacz niezwykła, strata bliskiej osoby), z nią odradza się wrażliwość i czasem człowiek rodzi się na nowo, do życia mistycznego".

CELE „PATRONATU"

(Dokończenie)

Według nowej idei sądzi się przestępcę, a nie przestępstwo: sędzia powinien doskonale znać osobę przestępcy. W tych wypadkach dochodzenie policyjne, śledztwo sądowe, są niedostatecznym materjałem. Sąd więc poleca przeprowadzenie wywiadu towarzystwom patronatów, których jest w Holandji przeszło 40, przy ludności 7 i pół miljonowej. Stowarzyszenia takie mają odpowiednie subsydja, utrzymują biura centralne i oddziałowe, posiadają wiele urzędników. Sąd nakazuje sprawdzenie przedewszystkiem stosunków rodzinnych, majątkowych oskarżonego, zdobycie jego charakterystyki przy pomocy rozmów z sąsiadami i t. d. Wywiady takie robią przeważnie agenci, urzędnicy odpowiednich stowarzyszeń, którzy dostarczają raporty zarządom. Zarządy lub odpowiednie podkomisje przedstawiają raport sędziemu i sędzia ma rzeczowy materjał dla orzeczenia zawieszenia kary. W razie zawieszenia kary sędzia oddaje skazanego pod odpowiedzialny dozór tym instytucjom. Instytucje te mają nadrzędny organ, złożony z przedstawicieli wszystkich towarzystw opiekujących się więźniami, a więc patronatów, stowarzyszeń alkoholicznych, Armji Zbawienia, katolickiego stowarzyszenia pomocy więźniom i t. d. Na wspólnych posiedzeniach delegatów stowarzyszeń decyduje się jakiemu stowarzyszeniu oddać pod opiekę skazanego, co prowadzi do tego, że praca jest harmonijna, towarzystwa nie wchodzą sobie nawzajem w drogę. W razie złego prowadzenia się więźnia to-

warzystwo daje znać komitetowi, zorganizowanemu przy każdym patronacie a złożonemu z przedstawicieli sądownictwa, administracji, dyrekcji więzienia i przedstawicieli instytucyj społecznych. Tym sposobem opieka nad więźniem obejmuje cały okres czasu od chwili uwięzienia aż do chwili jego resocjalizacji.

Opieka odpowiednich organizacyj przez specjalnych kuratorów trwa i podczas przebywania więźnia w więzieniu. Wówczas bezpośrednio po uwięzieniu więzień jest poddany obserwacji odpowiednich przedstawicieli instytucyj społecznych, którzy myślą zgóry o tem, do jakiej pracy go przystosować, jak się z nim obchodzić oraz jak go przygotować do powrotu do życia uczciwego. Orzeczenie o przedterminowem zwolnieniu oparte na znajomości więźnia i na wywiadzie środowiskowym, zależy też od tych komisyj specjalnych lub od raportów odpowiednich komitetów zjednoczonych. Po zwolnieniu, więzień przechodzi pod opiekę ich organizacyj, które znają jego życie, warunki powrotu do wolności i zgóry od dawna przygotowały dla niego odpowiednią pracę i opiekę.

W Anglji, w większości więzień, istnieje t. zw. komitet przyjęcia, złożony z dyrektora więzienia, jego pomocników, kapelana i jednego przedstawiciela miejscowego patronatu. Wkrótce po uwięzieniu więzień jest powołany przez ten komitet, który bada, jakie ów więzień ma projekty po zwolnieniu oraz ustala jego zdolności i t. p. W zależności od tego, więzień nauczany jest tego czy innego rzemiosła, wyznaczany do takiej czy innej pracy lub powierzany takiemu lub innemu nauczycielowi. Tenże komitet wyznacza mu kuratora, który jest dlań najbardziej odpowiedni, np. kogoś z jego miasta lub z jego sfery i specjalności. Patronaty istnieją przy każdem więzieniu. Są to patronaty lokalne dla więzień mniejszych, które mają swoją centralę w Londynie, jednoczącą ich wysiłki.

Oprócz tych patronatów istnieje stowarzyszenie centralne półurzędowe, korzystające z dużych zasiłków i mające swe oddziały na prowincji.

Po zwolnieniu więzień otrzymuje formularz, w którym wyjaśnia, jakie ma zamiary na najbliższą przyszłość i jaką pomoc uważa za najpotrzebniejszą dla siebie po odbyciu kary. Jednocześnie kurator uzupełnia formularz swemi obserwacjami. Taki wypełniony formularz przedkłada się komitetowi lokalnemu patronatu, który się zbiera raz w tygodniu i jest obowiązany znaleźć odpowiednią pracę dla zwolnionego, odzież, narzędzia pracy, pokryć koszty podróży, koszty utrzymania.

W Czechosłowacji działa organizacja podobna do angielskiej z tą różnicą, że administracja więzienna ma większe pole działania.

Przeglądając sprawozdania Zarządu Patronatu za lat 24, wszędzie znajduję skargi: społeczeństwo nie rozumie naszej pracy, nie docenia jej, a jeżeli praca nie znajduje oddźwięku w społeczeństwie, nic dziwnego, że i nasze władze nie traktują towarzystwa tak, jak na to zasługuje, zarówno ze względu na cel swój, jak i na wysiłek, zupełnie bezinteresowny i ofiarny jego członków.

W tak zwanym elemencie przestępnym jest napewno więcej, niż 50% ludzi, którzy przypadkowo dostali się na ławę oskarżonych, których słaba wola, nędza, złe wpływy pchnęły na śliskie tory. To nie są ludzie moralnie zepsuci.

Dla zabezpieczenia się od epidemji robimy zastrzyki i nie pytamy, czy pacjent jest grzeszny, czy bezgrzeszny, czy jest Polakiem czy Żydem, czy jest tych czy innych poglądów; jest osobnikiem niebezpiecznym, może szerzyć zarazę — to wystarcza.

Jeżeli chcemy się ochronić przed trującemi gazami — też nie pytam, czy dana jedostka warta jest obrony przeciwgazowej i ile to będzie kosztowało, trzeba bronić społeczeństwo przed gazami, trzeba zabezpieczać przed zarazą. Lecząc tę lub inną jednostkę na gruźlicę, nie pytamy o jej przeszłość, chodzi nam nietylko o jednostkę, a przedewszystkiem i ponad wszystko o dobro całości, o dobro społeczne. Chodzi nam o to, aby nasze dzieci nie zarażały się na każdym kroku, aby nie były wytruwane.

Tak jak niema „dobroczynnej" obrony przeciwgazowej, lub przeciwgruźliczej — tak nie może być traktowania Patronatu, jako instytucji dobroczynnej.

Jakąż powinna być organizacja Patronatu w zależności od jego celów? Obecnie wobec rozszerzenia się zadań patronatu, wobec konieczności ciągłej, systematycznej pracy, rozlegają się głosy zarówno w Niemczech jak i we Francji, że patronaty powinny być instytucjami rządowemi, opartemi o stały budżet, działającemi przez płatnych urzędników. Zdanie takie jest bardzo rozpowszechnione, a reformy we Włoszech, w Rosji Sowieckiej, a częściowo praktyka Stanów Zjednoczonych, popierają takie mniemanie. Jednakże przy uważniejszem przestudjowaniu kwestji okazuje się, że jest zupełną niemożliwością pogodzić opiekę nad więźniem, która idzie z zewnątrz, która przenika do więzienia jak promień światła, z duchem biurokratycznym.

Doświadczenia Belgji i Rosji są smutnym przykładem zamierania instytucyj przy jej urzędowości. W Belgji założone w r. 1826 „Société Royale de Patronage", do którego wchodziły przeważnie czynniki administracyjne, po odnośnem zreformowaniu, istniało tylko na papierze. Działalność jego do tego stopnia zamarła, że gdy myślano o organizacji patronatu nie zdołano zreformować istniejącego patronatu, lecz stworzono nową zupełnie instytucję.

To samo było w Rosji. Patronaty rozwijały się bardzo pomyślnie, gdy były instytucjami społecznemi. Gogel powiada (Str. 336 w pracy o historji patronatów w Rosji), że wobec tego, iż głównymi członkami były osoby oficjalne, które o wszystkiem decydowały i nie miały czasu dla spraw więźniów, instytucja zupełnie zamarła. I tak samo jak w Belgji utworzono nowe towarzystwa, opierające się tylko na inicjatywie prywatnej. Towarzystwa takie powstawać zaczęły od r. 1878.

Zarówno teoretycy jak i praktycy twierdzą, że sprawa resocjalizacji przestępcy jest sprawą zbyt delikatną, wymagającą przedewszystkiem serdecznego stosunku do więźnia i do zwolnionego z więzień, dlatego też nie może być powierzona biurokracji.

Przeciwko organizacjom społecznym słyszy się następujące argumenty:

1) organizacje takie nie mogą rozporządzać wielkiemi środkami materjalnemi, które potrzebne są do ciągłej systematycznej opieki nad więźniem lub zwolnionym,

2) praca członków towarzystw prywatnych, jako dodatkowa i dobrowolna, zależy zbyt często od widzimisię i jest zbyt nieregularna, zbyt fragmentarycz-

na, a opieka nad więźniem wymaga ciągłej troskliwości,

3) istnienie towarzystw prywatnych zależne jest nietylko od stanu ekonomicznego jego członków, ale bardzo często od osobistej sympatji i antypatji. Jakże często towarzystwo rozwija się szybko pod przewodnictwem dzielnego i oddanego sprawie człowieka, a ginie przy nieodpowiedniem kierownictwie.

To wszystko prawda. Nie może być pomocy wydatnej i celowej tam, gdzie panuje ciągła troska o grosz i wystarcza zaledwie na pomoc śmiesznie drobną. Rzeczywiście praca dobrowolna członków patronatu może okresami zamierać.

Organizacje rozwijają się i umierają. Studjując historję patronatów widzimy jak np. w Genewie instytucje te doszły do wielkiego rozkwitu, gdy na czele stał człowiek niezastąpiony — Marell. Z jego śmiercią ledwie się życie w patronatach wlecze. I takich przykładów jest mnóstwo. Lecz to jeszcze nie dowodzi, aby towarzystwa niesienia pomocy więźniom i pomocy zwolnionym z więzień miały być organizacjami biurokratycznemi.

Państwa, w których najlepiej jest postawiona praca patronacka, a więc Anglja, częściowo Ameryka, Szwajcarja, Holandja, Belgja rozwiązały sprawę kompromisowo: patronat jest osobą prawną, korzysta dla wykonywania systematycznych prac z pomocy specjalnie wyszkolonych urzędników płatnych, a utrzymuje się 1) ze składek, 2) z ofiar i zapisów testamentowych, 3) z subsydjów rządu i samorządów.

Badając skład osobisty członków patronatu u nas i zagranicą widzimy prawie wszędzie jednakową bolączkę. Patronaty w Niemczech, we Francji i u nas przedewszystkiem składają się z sędziów, adwokatów, prokuratorów i ich rodzin. W drodze wyjątku zabłąka się do patronatów jakiś lekarz, kobieta o gorącem sercu i szlachetnych apiracjach — i tyle. W Szwajcarji widzimy nieco rozszerzony skład patronatów, gdyż ogromna procentowo jest ilość naczelników więzień, ludzi z wykształceniem specjalnem, wyższem, pastorów, członków Armji Zbawienia. Przewodniczącymi i głównymi działaczami patronackimi są tam przeważnie pastorzy i byli dyrektorzy więzień. W Holandji, Belgji należą do patronatów ludzie wszelkich zawodów a opiekę powierza się człowiekowi odpowiednich sfer. Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że więzień będzie miał więcej zaufania do swego kolegi z fachu, do człowieka takich samych pojęć jak i on, niż do jakiejś litościwej pani z towarzystwa. W Anglji zaobserwować można ciekawe zjawisko: olbrzymią ilość t. zw. pracowników społecznych, czy pracowników dobrowolnych, którzy poświęcają się specjalnie pracy społecznej w dziedzinie opieki nad więźniem. Obliczyłam, że na 120 delegatów Wielkiej Brytanji na zjazd w Pradze w roku 1930 około 80 było właśnie tych pracowników społecznych.

Dążyć należy do rozszerzenia granic patronatu do powołania nowych ludzi, do wzbudzenia zaufania dla pracy, która nietylko nie sprzeciwia się interesom każdego obywatela, ale staje na straży zarówno jego interesów, jak i wielkich zadań państwa.

Należy dążyć do tego, aby nietylko inteligencja, nietylko luminarze społeczeństwa, ale i przeciętny obywatel zrozumiał, że opieka nad więźniem nie jest sprawą tkliwego sentymentalizmu, nie jest wymogiem tylko współczującego serca, ale rozumu dbałego o przyszłość państwa.

Adw. Helena Wiewiórska

PIECZONE KARTOFLE

Posuwali się naprzód do perłowego świtu do późnego wieczoru. Płynęli białemi wstęgami szos, przekradali się polnemi drogami, lub wprost naprzełaj — polem, łąką, lasem.

Gryzący pył okrywał ich mundury, broń i rzędy na koniach. Zaprószał oczy, zgrzytał w zębach, tamował oddech.

Prażyło lipcowe słońce, paliło pragnienie, piekły dłoń rękojeści szabel i lufy karabinów. Rzemienie wrzynały się w ciało, ciążyły ładownice.

Szli w burzę letnią, gdy niebo rozdzierały błyskawice, szli zmoczeni do ostatniej nitki, śmiertelnie znużeni i głodni — ale szli, szli, szli...

Gdzież kres tego marszu, kiedyż koniec pościgu?

Mija trzeci tydzień. Przemierzyli olbrzymi szmat tego kraju, zoranego pługiem wojny, gdzie na polach jeno chwasty rosną, a po wioskach króluje strach i głód.

Wróg umyka chyżo, niszcząc resztki.

Kawalerja w pościg, naprzód, marsz!

Czasem czujki dopadają arjergardy wroga. Pogrzechoczą karabiny, pogwiżdżą kule — chwilę, niedługo...

Nieprzyjaciel uchyla się od bitwy, przyśpiesza tempa, zapada w lasy.

Kawalerja w pościg — naprzód!

Konie wychudłe jak szkielety, ledwo się wloką, od siodeł mają odparzenia. Ludzie są czarni od słońca, oczy mają czerwone od kurzu i niewywczasu, stale są źli i mrukliwi.

Kuchnie polowe nie nadążają za oddziałem. Od tygodnia już stracono z niemi kontakt, żołnierz sam się żywi jak umie.

A kraj dokoła pusty, wynędzniały. Zdeptały go już armje różnych barw i broni, przewalały się przezeń wojska w tę i tamtą stronę, wywęszyły, wyżarły wszystko, gdzie co było.

Gdy oddział wkracza do wsi — z ziemianek, z rozwalonych chałup wylegają stada dzieci półdzikich, półnagich, na pokracznie krzywych nogach, z obrzękłemi twarzami i wzdętemi brzuchami, niby potworne pająki. Żebrzą chleba...

Póki kuchnie szły wślad za szwadronem, póki żołnierze mieli kieszenie i torby przy siodłach wypchane sucharami, litowali się nad tą nędzą i z koni rzucali jej suchary.

Biły się o nie, jak psy żrą się o kość.

Żołnierz ma sentynemt do dziecka. Roztkliwia go jego bezstronność, wzrusza wspomnienie własnego dzieciństwa i własnego domu, w którym zostawił płowe główki własnych dzieci. Żołnierz ma dobre serce. Dzieli się chętnie tem, co ma. Ale surowe prawo wojny czyni go bezwzględnym i okrutnym, gdy niema tego, co mieć musi: jadła, opału, kata do snu.

Dopóki mieli — dawali. Ale urwało się. Kuchnie zostały daleko w tyle, z zapasów przy sobie oddawna nie było już nic.

Jadą o głodzie. Niema nawet tytoniu. Na skrawek gazety wysypują z kieszeni trochę machorki i dużo śmiecia. Dym z tego jest ostry, gryzący i śmierdzi. Paląc, spluwają.

Są głodni. Zamiast dawać, sami będą żądać. Mogąż być względni?

Na postojach rozłażą się po chałupach i ziemiankach i węszą. Za tym chlebem z perzu, zielska i kory drzewnej, za kubkiem mleka... Może się gdzie trafi grządka młodej marchwi?

Lud zakopany w swych ziemiankach jak niedźwiedź w barłogu, wita ich nieufnie, nienawistnem okiem błyska, zębami i pazurami gotów bronić ostatniego kęsa.

Głodni położyli się spać, głodnych o świcie porwano na nogi. Naprzód! Wszystkiego było w tym dniu wbród — prócz jadła. Wczesnym rankiem, gdy wyruszali o suchym pysku, chłód przenikał dotkliwie, później słońce się uwzięło i paliło niemiłosiernie, a kurz był taki, że posuwali się wciąż w gęstym tumanie. Wciskał się za kołnierz, w oczy, w nos, pchał się w usta, jakby naprzekór: głodnyś? na, masz, najedz się!

W samo południe upał sprowadził burzę, zlało ich do ostatniej nitki, a przed wieczorem natknęli się na nieprzyjaciela, powstała strzelanina, atak, kontratak, szarża.

Wszystkiego więc było poddostatkiem — prócz jadła.

— Cholera!

Oficerowie krzepili ducha jędrnem słowem, próbowali rozweselać, kazali nawet śpiewać w marszu.

Zaczynali, próbowali — rwało się, nie szło. Spiewajże tu, kiedy głód w kiszkach wierci, a kurz wyżera oczy i płuca!

— Sam sobie śpiewaj, kiedyś taki słowik! — mruczeli.

Wreszcie przyszła noc. Zatrzymali się w jakiejś nędznej wiosce. Przynajmniej obolałym kościom trochę ulgi będzie, członki rozprostują, rozluźnią rzemienie.

Rozsiodłali konie, rzucili im świeżego siana, niech żrą! Takim to dobrze!

Sami rozleźli się po wsi — szukać. We czterech weszli do jakiejś chaty, gdzie migotało światełko.

— Gdzie gospodarz?

Niema gospodarza. Poszedł na wojnę, nie wrócił, może zginął, może jeszcze wróci, — niewiadomo.

Niema, to obejdzie się.

— Głodni jesteśmy. Gospodyni — chleba, mleka, jaj, — a żywo! Wynędzniała młoda kobieta rzuciła im niechętne spojrzenie.

— Niema.

— Co to znaczy „niema"? Musi być, zapłacimy.

— Kiedy niema.

Zaklęli.

— Sami poszukamy!

Naftowa lampka bez szkiełka kopciła wątłym języczkiem. W izbie był mrok i zaduch. Na szerokim piecu przykucnęło kilkoro dzieci. Oczy ich świeciły w mroku, jak oczy kotów.

Gospodyni potrząsała głową i powtarzała bezdźwięcznie: niema! Miała zaciętość w twarzy.

Zaczęli szukać: zajrzeli do każdego garnka na półkach, podnieśli wieko skrzyni, poszperali w czarnej czeluści chlebowego pieca, przetrząsnęli graty.

Szły za niemi, śledząc każdy ich ruch, ciemne, niespokojne oczy gospodyni.

— Cholera! — klęli żołnierze. — Przecież sami coś żreć muszą, powietrzem nie żyją!

Najmłodsze z dzieci zaczęło płakać!

— Cicho, malutka, cicho! Panowie żołnierze zaraz sobie pójdą.—Ale panowie żołnierze byli głodni. Byli bardzo głodni. Płacz dziecięcy już ich w tej chwili nie wzruszał, lecz drażnił. Stali się ślepi na straszliwą nędzę wdowy. Przemożny instynkt życia wołał— jeść! Okrutne prawo przemocy nad słabym wskazywało drogę. Słowo „wojna" dawało obłudną sankcję wszelkiemu złu i grabieży i głuszyło sumienia.

W złowróżbnem milczeniu szukali dalej w sieni, w komorze, na strychu. Coraz niespokojniej latały oczy gospodyni.

Wreszcie któryś podszedł do kąta, gdzie na kupie ściętego zielska stał ceber.

Kobieta skoczyła jak lwica.

— Nie dam! krzyknęła, odtrącając go.

— Aha, więc tu? —

Złapał ją za kaftan na piersiach, zaszamotali się. Zawrzała ohydna, krótka walka. Broniła się rozpaczliwie. Źli, głodni, podnieceni nadzieją jadła odepchnęli ją brutalnie, aż się zatoczyła i padła na ławę.

Izba napełniła się płaczem dzieci, przekleństwami i lamentem. Żołnierze zrzucili ceber, aż zadudniło. Chciwemi rękami rozgarnęli zielska, zwalone ot, tak tylko, dla niepoznaki. Ukazała się świeżo zruszona ziemia. Bez motyki, łopaty, poprostu palcami zaczęli grzebać i pod płytką warstwą ziemi domacali się kartofli.

— Tu schowała, psia krew jedna! mruczał, wybierając troskliwie cenne bulwy. Było tego parę garncy.

Tej nędznej garści jadła, przemyślnie ukrytej, tak strzegła, tak uparcie broniła wdowa. Teraz już się nie sprzeciwiała. Siedziała na ławie, dysząc ciężko po walce i szamotaniu. Dzieci, płacząc, skupiły się koło niej.

Ale żołnierze już nic nie widzieli i nic nie słyszeli.

Są kartofle! Będą jedli!

Wybierali je śpiesznie, kładli do czapek, napychali kieszenie. Jeszcze raz rzuciła się ku nim ze szlochem:

— Zostawcie choć trochę! Dla dzieci! To ostatnie!

Odepchnęli ją. Ostrożnie, oburącz trzymając swój skarb, wychodzili pośpiesznie jeden po drugim i znikali w ciemności.

Byli radzi — będą jedli!

Rozpalili ognisko, obsiedli je kołem, pożądliwie patrząc w ogień, gdzie piekły się już w popiele kartofle. Długim patykiem przewracali je, by się nie przypaliły. Parząc sobie palce, wyciągali je z ognia i jedli łapczywie, na wpół surowe, bez soli. Sypkim, ciepłym miąższem zapychali sobie gęby. Czuli błogość ciepłej strawy, zsuwającej się powoli po przewodzie pokarmowym.

Zjedli wszystko w milczeniu. Rozciągnęli się obok ogniska. Byli już syci, zdążyli nieco odpocząć, stawali się napowrót ludźmi. Przychodziły refleksje, w sercach wzbierały normalne, poczciwe ludzkie uczucia.

— Opchałem się tych babich ziemniaków, — mruknął jeden. Do djabła z takiem wojowaniem, z człowieka robi się bandyta!

Nikt nie odpowiedział. Jedni patrzyli w ogień, inni w gwiazdy. Nie zraził się milczeniem, widać doskwierały mu pewne myśli.

— Psia krew, — ciągnął — nie strawię tych głupich kartofli...

Ostatnie były u tej wdowy...

Wtedy poruszyli się wszyscy. Dotknął bolącego miejsca, więc odezwały się niechętne, opryskliwe głosy.

— A stulisz — że ty gębę z temi morałami? Sam brał pierwszy, obżarł się, a teraz filozofuje! Wojna jest — wiesz, czy nie wiesz? Spłynęło z ust to magiczne słowo, które zamyka w sobie wszystko — cierpienie, krew i śmierć, rozgrzesza wszelką zbrodnię i gwałt, uprawnia wszelką krzywdę i jest odpowiedzią na każdą skargę. Przed tem słowem, jak przed uzbrojonym szaleńcem, cofa się rozum, uczucie i prawo. Od tego słowa niema odwołania.

Żołnierz umilkł. Twarde słowo „wojna" zamknęło mu usta, ale nie wygładziło ani czoła, ani duszy.

W lat dziesięć, we dwadzieścia od tej chwili — wspomnienie jej sen mu zamąci. Uniesie się na posłaniu, przetrze dłonią czoło i oczy, by odpędzić koszmar wspomnienia, ale z mroku nocnego wybłysną ku niemu, jak wówczas, świecące oczy głodnych dzieci, sercem targnie ich płacz i krzyk matki: zostawcie, to ostatnie!

A słowo „wojna" utraciło już moc rozgrzeszenia — nawet wspomnień.

St. Czosnowski

PRZEGLĄD POLITYCZNY

U schyłku 1933 r. świat stoi wobec ciemnej przyszłości, pełen lęków i obaw o jutro. Rozlatuje się domek pokoju z kart dyplomacji, stawiany w Genewie. Władcy narodów, ich rządy, łudzą się, że potrafią z tych samych kart pobudować inne domki, biorąc się do tego po dwóch lub po czterech i że wówczas dopiero struktura będzie trwała i pewna. Złudzenie to tem gorsze, że w gruncie rzeczy nikt w to nie wierzy, ale chce, aby łudzili się inni.

Rozmowy bilateralne, lub inne z wielkim hałasem lub też w tajemniczej ciszy wszczynane, w gruncie rzeczy nie dają wcale lepszych wyników, niż międzynarodowa jawna dyskusja w Genewie. Nie pomoże na to ani piłka „szlachetnie" odbita, ani wizyty młodzieży szkolnej, bo karty, z których wznosi się te małe domki pokoju, mające zastąpić wielki gmach, są częściowo fałszywe.

Niechaj kto np. spróbuje wytłumaczyć w sposób rozsądny bez odwoływania się do mistycznych nieważników, dlaczego pakt Locarneński nie daje bezpieczeństwa Francji, choć zawiera gwarancję jej granic wschodnich, a jakiś nowy pakt, zawarty po rozmowie p. Hitlera z p. François Poncet'em ma dać to bezpieczeństwo? Poza użyciem tych lub innych słów różnica między temi aktami byłaby przecież tylko ta, że na tamtym figurują podpisy dwóch już nieżyjących Briand'a i Stresemanna, a pod nowym paktem podpisaliby się jacyś obecnie działający mężowie stanu np. Hitler i Paul Boncour.

Czy może pakt dyplomatyczny z chwilą zgonu podpisanych na nim traci wartość? Takiej tezy nikt nie wysuwa, boć przecie podpisy reprezentują państwo, czy naród, a nie osoby. Nie w tekstach paktów leży zatem przyczyna niepokoju i niepewności. Zmiana ich, czy renowacja podpisów, nic nie poprawi pod tym względem.

Rzeczą najważniejszą jest, że niema pokoju wewnątrz państw układających się, a znajdujących się na przełomie ustrojów gospodarczych i że wszelkie pakty zawiera się z wyłączeniem głównego przedmiotu sporów i waśni. Weźmy dla przykładu nie całą Europę, ale jeden jej fragment: półwysep Bałkański, gdzie w ostatnich miesiącach wprost gorączkowo pisze się pakty i podpisuje umowy. Ciążenie do tej akcji jest silne: wszystkie państwa bałkańskie są tu zgodne, wszystkie jednakowo dążą do utrwalenia pokoju. Ale kiedy dochodzi do stworzenia aktu, który ten pokój ma utrwalać, to, aby nie wywoływać sporów, wyłącza się to wszystko, co stanowi ich przedmiot istotny i w ten sposób wyzuwa się umowę z treści. Wiadomo np., że na Bałkanach główną igłą tkwiącą w ciele współżycia narodów jest niezadowolenie Bułgarji; wiadomo także, na czem ono polega; wiadomo nawet więcej, że maksymalizm pod tym względem, domagający się rewizji granic, stanowczo nie ma tu nic do powiedzenia. Nie przychodzi do stołu rokowań z żądaniami maksymalnemi. Wiadomo konkretnie, że uznanie praw narodowych mniejszości bułgarskiej (Macedończyków) w krajach sąsiadujących z Bułgarją i rozstrzygnięcie zagadnienia gospodarczego dostępu do morza dla Bułgarji stanowiłoby rozcięcie węzła gordyjskiego w tym fragmencie sznura niepokoju, który dusi Europę. Ale, niech no jakaś zapowiedź takiego rozstrzygnięcia pokaże się na horyzoncie, natychmiast kolubryna obaw o to, co się za tem kryje, grzebie sprawę.

Jeszcze przykład z innej strony: antagonizm francusko - włoski. Jego treścią istotną w rozsądnem ujęciu jest tendencja Italji do uzyskania nowych terenów kolonizacyjnych, bo przecież żaden rozsądny Włoch nie myśli o zdobywaniu od Francji departamentu Alp Morskich, ani nawet Korsyki. Stąd wniosek: rokowania o dobre współżycie między Francją a Italją mogą mieć za przedmiot tylko jakieś kompensacje kolonjalne w Afryce na rzecz Włoch. Wszelkie inne rozmowy we dwóch, czy we 4-ech są bezprzedmiotowe, poczucia bezpieczeństwa nikomu nie dadzą.

W świetle tej prostej prawdy ujawnia się wartość wszelakich rokowań z współczesną Germanją: rząd nacjonal-socjalistyczny pozwala sobie na rozsądne słowa, że szanuje inne narody i ich kulturę i zdawałoby się, że na tym gruncie łatwo o porozumienie. Ale ten sam rząd proklamuje zjednoczenie wszystkich ludzi, mówiących po niemiecku w jednem państwie narodowo - niemieckiem. Nacjonalizm niemiecki, rozpalony do białości, nie może zobowiązać się do zrezygnowania z ziem, które kiedykolwiek, w jakikolwiek sposób do mocarstwa niemieckiego należały: nietylko Eupen i Malmedy, nietylko Alzacja i Lotaryngja, Pomorze Polskie, ziemie nad Bałtykiem, ale nawet Ukraina, na której krótko rządził oręż niemiecki, w głębi przekonań hitlerowskich należy się Niemcom, dopiero to wszystko razem, może zapewnić szczęśliwość rasie, predestynowanej do panowania nad światem. Poczucie to, czasem w imię dyplomacji powściągane i zasłaniane, rośnie wraz z nadchodzącem rozczarowaniem mas i nawet ich „wodzów", którzy po 11-stu blisko miesiącach rządów nie mogą się pochwalić, iżby coś zmienili w losie Niemiec, by wydźwignęli je z klęski, biedy ogólno - światowej, by przywrócili cośkolwiek z tego, co rzekomo demokracja niemiecka zaprzepaściła.

Z wysiłków i skoków polityki Hitlera wyziera zupełnie jawnie dążenie do uzyskania jakiegokolwiek realnego sukcesu, bo, doprawdy, niema czem pochwalić się. Na wpół zdobyty Gdańsk przez usta swoich szefów przyznaje się, że „musi znosić jarzmo Ligi Narodów". Nic innego ugryźć się nie daje: ani na Wschodzie, ani na Zachodzie. Dojrzała gruszka austrjacka nie spada do kosza III Rzeszy. Widzimy więc teraz rozpaczliwe wysiłki w kierunku rzeczy, zdawało się, najłatwiejszej—odebrania przed terminem Zagłębia Saary, które przecież, gdyby wszystko szło normalnie, wróciło-

by w 1935 roku do Rzeszy Niemieckiej. Dziś sprawy przyjęły taki obrót, że nawet ten zysk, który bez wysiłku mógł przyjść, wyślizguje się z rąk niemieckich

O ten niewielki, ale bogaty skrawek ziemi toczy się rozpaczliwa, mało może widoczna walka. Słusznie w komisji do spraw zagranicznych Izby deputowanych p Fribourg oświadczył, że tam rozgrywa się walka pomiędzy Europą a hitleryzmem, tam toczy się bój o prawo, o parlamentaryzm, o Ligę Narodów.

Na najbliższą metę Niemcy hitlerowskie muszą mieć ten jeden jedyny cel: odebrać Zagłębie Saary bez plebiscytu przed terminem.

Skoro nie w Austrji, to tam jest jedyny place d'armes, resztą mogą być narazie... boiska sportowe.

Oto zagadnienie, które zarysowuje się wyraźnie przed końcem roku tak pełnego chmur, jak rzadko który po Wielkiej Wojnie.

Co za tem zagadnieniem kryje się, łatwo stwierdzić: Mussolini tak skłonny do dyskredytowania Ligi Narodów w ostatniej chwili, gdy wszyscy oczekiwali coup de grâce z jego strony dla instytucji genewskiej, dał do zrozumienia, że Włochy nietylko nie wycofują się z Ligi, ale nawet nigdy o tem nie myślały. Zbyt dalekie zaangażowanie się po stronie zewnętrznie niejasnych, ale w gruncie rzeczy bardzo wyraźnych planów niemieckich, okazało się dla szefa rządu włoskiego nie na rękę. Na progu Nowego Roku może to świadczyć o działaniu ośrodków hamujących przed rozpętaniem wielkiej burzy.

Ośrodki te działać muszą wszędzie tam, gdzie ktoś jasno spostrzega, że zmienia się ustrój wewnętrzny społeczeństwa i że rozpętanie w tym momencie zatargów zewnętrznych może tylko zwiększyć cierpienia i nieszczęścia ludzkie, nic nie zmieniając w biegu przeznaczeń.

St. Gr.

TREŚĆ NUMERU:

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.650.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się. PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy. OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Z. 754 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 5.